



Janina Tyborowska-Urbańska

część I z II

Sygnatura notacji: **N0166**

Data urodzenia: **01.01.1934 r.**

Data nagrania: **27.07.2022 r.**

Miejsce nagrania: **dom świadka, Warszawa, Polska**

Prowadząca/y rozmowę: **Julia Krajewska**

Czas nagrania: **część I: 54 min, część II: 48 min**

Format nagrania: **video**

Język nagrania: **polski**



TRANSKRYPCJA



INSTYTUT
PAMIĘCI
NARODOWEJ

[00:00:00 POCZĄTEK NAGRANIA]

Janina Urbańska-Tyborowska: Moje nazwisko Janina Urbańska i Tyborowska również używam do malowania lub do pisania. Urodziłam się w Warszawie na Woli, to jest na [ul.] Księcia Janusza, w domu zresztą niemieckiego właściciela, który od lat przebywał. 1 stycznia 1934 roku w Warszawie i całe moje życie prócz wygnania było związane z Warszawą, którą kocham. I nigdy, nawet gdyby mnie proponowano, a zresztą proponowano mi pozostanie w Norwegii. Ale nikt z naszej rodziny nie emigrował, bo po prostu tu jest nasz kraj. Jeśli chodzi o rodziców, to mama długo czekała na wiadomość. Dopiero gdy wujek mój, który był w armii Andersa, przyjechał. Zresztą był później prześladowany i żałował, że wrócił. Dopiero nam opowiedział historię. A ja w tym czasie dostałam z mamą zaproszenie do Anglii. I taki list bardzo niemiły, że ja mam już obywatelstwo brytyjskie, a mama po trzech miesiącach kuracji będzie musiała wrócić do Polski.

Julia Krajewska: A kiedy to było?

Janina Urbańska-Tyborowska: To było zaraz na początku wejścia, że tak powiem, naszych sojuszników. Także to 1946, tak na początku. No więc oczywiście zrezygnowałam z tego. No i dopiero od wujka się dowiedziałam, że mój ojciec... Taki paradoks, że stryj Władysław, Aleksander Władysław Białek-Białecki był pułkownikiem w wojsku Piłsudskiego. Natomiast przy stole... A mój ojciec tylko mógł jeden z członków rodziny, nawet dość zamożnej, być wykształcony. Reszta. Nie było Szkół zawodowych nie było innych szkół, tylko podstawowe, więc wszyscy szli do terminu i mój ojciec terminował jako rymarz galanterijny. No i ojciec kiedy dostał się do tej... Paradoks taki, że przy stole wigilijnym to się kłócili. Było dobrze, dopóki nie zaczęła się polityka. A później to już był niepokój, bo się sprze-

czali. I mojego ojca stryj nazywał komunistą. Ale to wcale nie była prawda. I paradoks był taki, że mój stryj dostał się do 1 Armii Wojska Polskiego i poszedł aż pod Berlin. A mój ojciec, który miał być niby komunistą, trafił do armii Andersa. W czasie walk ojciec został w czołgu ranny i w takim stanie, że od razu dobrze, że przeżył, ale był bardzo poturbowany i bardzo ciężko ranny w głowę, i trafił do szpitala, gdzie zainteresowała się **pani** Angielka. I tak się, tak go pielęgnowała, aż się za niego wydała. Ojciec zmienił wiarę, bo taka była konieczność. No i tam już założył drugą rodzinę, więc właściwie smutne, ale widać było, że ojciec nie miał głowy w porządku, dlatego, że ja miałam już dziesięć lat, czy osiem dziewięć, a ojciec przysyłał mi paczki z bucikami na 5–4 lata, bo ciągle miał w pamięci mnie jako małe dziecko. Tak że zostaliśmy w Polsce aż do... A ojciec założył róg Wroniej i Leszna założył... kupił zakład taki, po poczcie lokal, i ten lokal przerobił na dom, mieszkanie, sklep i pracownię, zatrudnił, zatrudnił tych czeladników, i tak było aż do, aż do tego, jak nie było co jeść i trzeba było pracować. No i chodzili za tą pracą. Chodzili. Różne rzeczy robili. To ja już nie będę wymieniała ani kompromitowała, bo to różnie bywa. I później tam tereny przechodziły raz z rosyjskich, to niemieckie tereny, to rosyjskie, odbijali i wtedy oni trafili do Rosji i ojciec tam był właśnie w armii Andersa, a mama tu została.

Julia Krajewska: Pamięta pani, w którym mniej więcej roku ojciec trafił do armii Andersa? Albo w którym roku może aresztowali go, że on został tam?

Janina Urbańska-Tyborowska: To był rok 1940. To było na początku. Mama miała jeszcze przyrodną siostrę, bo babcia drugi raz wyszła za mąż i ona, ta siostra, jechała z mężem. Uciekali na wschód i było bombardowanie i to bombardowanie... On wyszedł, mąż wyszedł na chwilę, zaraz po prostu gdzieś, a ona z córeczką została. I w tym momencie było bombardowanie i ona zginęła i on gdzieś w lesie ją zakopywał. Także rodzina raczej tragiczna.

Julia Krajewska: Pani ojciec został aresztowany i gdzieś wywieziony?

Janina Urbańska-Tyborowska: Nie, on nie został wywieziony. On został aresztowany już na tych przejściach między jednym niemieckim a rosyjskim wojskiem. I tam go zabrali na wschód. Czyli trafił na wschód.

Julia Krajewska: A pani z pani mamą zostaje sama w Warszawie, prawda.

Janina Urbańska-Tyborowska: Mama została w Warszawie z wujkiem, który miał wtedy 19 czy 20 lat. No i cały czas się nami opiekował. No ale bardzo ciężko było, jeśli chodzi o przeżycia. Nie będę osobistych takich, prawda? Bo wiadomo saharyna, kartki. Ale to też trzeba było wykupić. Tylko nie wiadomo było za co. I moja mama miała piękny, miała piękny głos i grała na fortepianie i na pianinie, i pięknie śpiewała. I ktoś mamę zaangażował z biedy. Zaangażował do teatru Kometa, która, ten teatr był na ulicy Chłodnej i tam mama w takim wodewilu występowała, śpiewała takie różne kawałki, tak że była... Bardzo śmieszne były rzeczy, dlatego że mama musiała w domu to ćwiczyć i ja zamiast, mając siedem lat, zamiast, zamiast śpiewać „Wlaź kotek na płotek”, bo ja nie miałam koło siebie dzieci, to śpiewałam te piosenki, zresztą czasem frywolne, które mama ćwiczyła „Kochaj mnie” i tak dalej. Tak że to było bardzo śmieszne, ale to było śmieszne po latach. A wtedy dla mnie było..., i mama mnie... Ponieważ nad nami było gestapo.

Julia Krajewska: Tam, gdzie panie mieszkali, było gestapo?

Janina Urbańska-Tyborowska: Tak, jak myśmy mieszkali, to było róg Wroniej i Leszna, i całe... I to był dom taki. Już go nie ma, bo zrównany, tramwaj tamtędy przejeżdża. I na rogu stał taki czteropiętrowy... To było Leszno 99 i stał czteropiętrowy dom. I całe pierwsze piętro wysiedlono. I tam było gestapo, i tam było wacha, i różne rzeczy się działy. No i między innymi przesłuchania. I to wszystko było nad nami. Więc ja wszystko słyszałam, nawet w nocy tupot butów i tak dalej, i krzyki, z tym, że wejście było od strony Leszna 99, natomiast na Wronią to było jedyne wyjście przez nasz sklep, więc jeśli się coś działo, a działo się dużo, to wszyscy albo przechodzili przez nasz sklep, albo uciekali przez nasz sklep. I tam był bardzo miły pan i kochany pan dozorca Woźniak. Imienia nie pamiętam, miał tylko Czesława syna, i mieszkał w takiej stróżówce. I on, Niemcy potrafili rozstrzeliwać w bramie, no bo bardzo dużo ludzi uciekało. Więc jeśli były te..., martwe osoby leżały, to wszystko ten pan Woźniak musiał sprzątać, i musiał, ale przy okazji bardzo dużo pomagał, bo Niemiec, jak to Niemiec, nie rozumiał po polsku, a on krzyczał niby na tego, który Niemiec go prowadził, a jednocześnie mówił którędy może uciekać. I bardzo dużo, bardzo często... Pamiętam jeden, jeden taki bardzo drastyczny moment, kiedy uciekał, i zawsze u nas te drzwi od, od frontu, od Wroniej były otwarte, bo nie wiadomo kiedy kto będzie uciekał i na podwórko też były otwarte, żelazne. No i wpadł mężczyzna zakrwawiony, a mama dzięki Bogu dla pracowników niosła zupełną pomidorową i zobaczyła, że ta krew jest na podłodze, więc on uciekł do pokoju, a mama tę zupełną rozlała na tę krew. I ten Niemiec musiał od tego cywila Polaka dostać, że tak powiem, jakieś baty, czy, czy go może uderzył, bo Niemiec był też zakrwawiony i mama pokazała, że on tam uciekł. No i ten Niemiec poszedł, ale już nie wrócił. Także ciągle było, i u nas był telefon i niestety Niemcom nie wolno było telefonować z posterunku i z wachy. A u nas był jeden telefon 350-07 i oni wszyscy przychodzili i byli uprzejmi dzwonić od nas. Więc to było otwarte, bo nigdy nie wiadomo było, kto wpadnie. Także to było, to było bardzo dla mnie to jak dziś widzę tą moją mamę, która niesie i widzico się dzieje i rzuca tą miską i tak niby grozi, że... że jak on moją mamę potrafił i to, i ten Niemiec uwierzył. Uwierzył w to. No to jest taka bardzo drastyczna rzecz, którą pamiętam. A jeśli chodzi o pana Woźniaka, to był wspaniały człowiek. Wspaniały. W rogu, pod niemieckimi balkonem leżał piach przeciwpożarowy. No więc cała gromada dzieci zawsze zbierała się i grzebała w tym polu. Więc pan Woźniak miotł nas rozganiał wiecznie, dlatego, że on musiał to sprzątać. No i kiedyś to było, dziecko jedno stało na czatach, na czatach, bo pan Woźniak myje schody. No to mogliśmy grzebać. I w tym momencie, kiedy myśmy byli przy tym piachu, spadł nam z nieba człowiek. Okazało się to być Żyd, którego prowadzili do, na przesłuchanie. Widocznie się tego bał i zamiast uciekać do dołu, to poleciał do góry, pobiegł do góry i wyskoczył oknem i prosto pod nasze nogi. Pięcioro czy sześcioro dzieci patrzy, leży człowiek zakrwawiony. No bo wiadomo. Ale pan Woźniak musiał to zobaczyć z innej klatki. Przybiegł, zgarnął nas jak te kurczaki do tej przybudówki swojej, do tej stróżówki. No i Niemiec jeszcze doszedł i naciskał butem jego rękę, żeby sprawdzić, czy żyje. No, myśmy to wszystko widzieli tak, że to się wszystko pamięta, a jedyną, że tak powiem, wyjściem to był, i zabawą, to był trzepak na podwórku, piłka do dołka, no bo żadne z dzieci nie mogło iść, że tak powiem, do placu zabaw czy coś. Były okropne sytuacje. No i moja mama też idąc na występy, bo policyjna godzina była chyba 18:00 czy 19:00. Może i o 20:00, nie pamiętam, ale o 18:00 kończyły się spektakle i mama mnie zabierała, i ja miałam pierwsze miejsce już służbowe. A ponieważ miałam astygmatyzm w oczach, to siedziałam, jedno oko zasłaniałam, bo mi przeszkadzało. No i wszystko, wszystkie piosenki, wszystko musiałam odsłuchiwać, aż mama skończy i mnie weźmie za rękę. No ale w tym momencie, muszę taką wstawkę dać, kiedy ojciec jeszcze żył, to przyszedł do, do mamy, do ojca pan syndyk Mieczysław, Żyd, i mówi

tak: „Panie właściciel, ja jestem biedny Żydek, niech pan ode mnie bierze skóry, bo ja dopiero zaczynam, a ja mam dziecki i ja muszę jakoś żyć. Niech pan ode mnie, pan nie będziesz żałował”.

Julia Krajewska: To było jeszcze przed wojną czy już w trakcie wojny?

Janina Urbańska-Tyborowska: Nie, to było już, to było przed wojną. Przed wojną, jak tylko ojciec założył ten sklep, to był jakiś 1939 do 1940. Nie 1939, to 1936 rok. Tak. I ta przyjaźń rzeczywiście tych czarnych łebków miał dużo. No i musiał jakoś... A ojciec wiedział, co to są początki i..., i przystał na to. I w tym momencie, kiedy mama została sama, to zgłosił się **pan** syndyk i, i powiedział tak, ja umiem po żydowsku mówić. Powiedział tak: „**Pani** Ziuta, mąż był dla mnie łaskaw. My żyli jak przyjaciele. Ja **pani** pomogę i my..., ja przyniosę coś takiego, że cała rodzina będzie miała chleb z masłem”. I już wtedy tak wolno było jeszcze chodzić z gwiazdą na rękawie. Ale w momencie kiedy ten **pan** poszedł, to już zamknęli getto. I kanałami przyszedł i przywiózł maszynę do robienia motków bawełny. Bo wtedy to się cerowało, bo wszystko było wełniane, bawełniane, i te motki to była maszyna, która robiła te motki. Posiedział u nas ze dwa tygodnie, nauczył, jak się robi, jak się zatrzymuje licznik, żeby nie ciągnął, bo to wszystko było na prąd. Licznik prądu jak się zatrzymuje, jak się zatrzymuje licznik prądu nauczył, tak? Tak, licznik, nie taki jak teraz, ale wiem jak zatrzymywał licznik, bo inaczej to by w ogóle się nie opłacało. No i dzięki Bogu i Panu syndykowi. Myśmy przeżyli aż do Powstania. Ale w domu u mnie to się działy różne rzeczy, dlatego, że mamy przyjaciółką była pani, ciocia Nisia, czyli Franciszka Popowska, i ona była w AK. A ponieważ u nas było bezpiecznie, ponieważ kto komu do głowy by przyszło, że na górze jest gestapo i Niemcy, a oni się tu zbierają. No i ja jako dziecko spod kołdry zawsze dziurkę znalazłam, żeby podglądać, ale to usypiałam dlatego, że to były tematy zupełnie... Oni po prostu stawiali sobie herbatę, pseudo herbatę, bo tam zaparzona ze skórek była i niby grali w karty, a rozmawiali o swoich sprawach, a później rano wychodzili jeden na Leszno, drugi na Wronię. Tak że to było całe aż do Powstania, aż do Powstania. No i taki jeden właśnie traumatyczny moment powiem, bo to jest ważne, że kiedyś siedzą wszyscy w komplecie mniej więcej ze 13–12 mężczyzn w pełnym uzbrojeniu. A tu do okna łup, łup, łup, łup, łup, łup! No i: „Otwierać!”. Mama uchyliła firaneczkę. Pytają się na migi: „Ilu?”. Mama mówi, że czterech czy iluś, nie pamiętam. Napisałam to już, nie będę się wracać. I w tym momencie mama pokazała ile.

Julia Krajewska: Ale któryś się odezwał. Piwo? Haberbusch?

Janina Urbańska-Tyborowska: A po przeciwnej stronie był barek i oni pomylili. Więc mama już wyszła. Więc tamci już byli wszyscy nastawieni. Wstali, żeby, żeby bronić się. Ale jak? Gdy on powiedział, że piwo, to mama do nich wyszła i wyprowadziła ich. Pokazała, że vis a vis tam jest. No i to był ten moment, był straszny. No bo oni byli zadowoleni, bo kamuflaż był wspaniały, bo uciekać było którądy, bezpieczny, no a tutaj by takie zdarzenie było, by było strzelanina. Także to było bardzo... No i właśnie ciocia Nisia przyszła do nas. Przybiegła i mówi: „Zbierajcie się, w Sądach [budynkuach Sądu] jest dowództwo AK, bo idą Ukraińcy i Niemcy. Już Wola jest spalona, a wszystkich chcą na Woli... Powyciągali z domów to rozstrzelali, a domy palili. Więc w tamtą stronę nie ma co. Tylko do Śródmieścia, do Sądów”.

Julia Krajewska: Czyli to było na początku Powstania, tak?

Janina Urbańska-Tyborowska: To było pierwszego dnia Powstania. Więc ja nawet pomyślałam jako dziecko, że to nie taka straszna śmierć, bo mama, mówię do mamy: „Mamuśka, ty wiesz co? Coś gwizdało”. A to kulki za nami latały, a myśmy dobiegli tam dzięki Bogu w całości. I tam przebyliśmy chyba tydzień albo półtora. Mama była pielęgniarką, w charakterze pielęgniarki, jak to kobieta, wszędzie, gdzie trzeba było pomóc, a ja już miałam wtedy 9–10 lat, to już taka byłam bardzo wysoka, więc też usługiwałam, a to różne potrzeba było. Jaka była potrzeba, tak nas wysyłali, bo tam dzieci było sporo. No, po chyba, po dwóch tygodniach przyszła Nisia, ciocia Nisia, i powiedziała: „Słuchajcie, musicie iść. Już wam nic nie pomogę, uciekajcie w kierunku Starówki. Bo już tu będą Niemcy i kanałami idą na Bielańską. Już wychodzą powstańcy”. No i myśmy szli. Wyszliśmy wszyscy. Gdy wyszliśmy, to nie poznaliśmy miasta. Wszystko było zrównane z ziemią. Po prostu wszystko. Tylko szkło i różne meble. Wszystko co chce, kto chciał, to wszystko leżało. No także po prostu minęliśmy to i pojechaliśmy. Polecieliśmy w kierunku Starówki do... Szliśmy Elektoralną, do Elektoralnej i tam był jakiś budynek. Taki ktoś budował. Nie dokończył. I było dużo zieleni. To pamiętam, że były drzewa, dużo zieleni. To było po prawej stronie Elektoralnej, i nadleciały myśliwce i bombowce. I on ukierunkował, i ten bombowiec na nas rzucił bomby zapalające. Ale tam się już nie miało co palić, bo tam był gruz. Ale jak myśmy usłyszeli ten gwizd, i co się dzieje. To jedna grupa uciekła do tego domu, między innymi my, a druga grupa uciekła w lewo. Ale jedna bomba nas tam zasypała. No ale wtedy były... Ludzie mieli przy sobie świeczki, mieli zapalniczki. No jak już oprzytomniał człowiek, no to zaczęliśmy... Wszyscy się zaczęli rozglądać, co się dzieje i jak z tego wyjść. Ale jedność ludzka była i przyjaźń była inna niż teraz. Po prostu tamci z lewej strony widzieli, że nas sypało, więc gdy się wszystko uciszyło, to oni zaczęli.. Przyszli do tego budynku i to tak z jednej strony ta bomba upadła tak, że nas zasypało, ale tu były jakieś, jakieś mury, i oni zaczęli stukać, czy my tam jesteśmy. No to odstukiwali, no i odstukiwali. No i tamci z prawej strony zaczęli odciągać cegły i wyciągać. A my z tej. My. No ja też, bo ja już byłam duża, dziesięć lat, też te cegły się wyciągało. No jak się dziura zrobiła, no to człowiek nawet nie wiedział, jakie to wielkie szczęście zobaczyć świat i później tą dziurą, w zależności od tego, czy był ktoś korpulentny czy nie, wyciągało się, do niektórych trzeba było cegły jeszcze usuwać, bo nie mogli wyjść, ale nas wyciągnęli stamtąd. No ale już... A mama jak zobaczyła, jak się Starówka pali, bo to Elektoralna i widać wszystko, to mówi: „Wiesz co Mieciu...” – do wujka – „...ja wolę zginąć, ja nie pójdę w ten ogień”. Ale już grupy tu pod karabinami, już ludzie zbierali się i Niemcy prowadzili do wyjścia. I myśmy do tej grupy dołączyli i doszliśmy... Pędzili nas ulicą nie przez Leszno, tylko Chłodną. To już jest dalej. Ja tu mam mapę, bo Leszek, mój przyjaciel, przyjaciele moi, zrobili tę Chłodną aż do Młynarskiej, do ulicy Młynarskiej, do zajezdni. I to jest, tu jest najtragiczniejsze coś, co ja później miałam przerwę, że tak powiem, w życiorysie. Dlatego dopędzili nas do kiosku róg Młynarskiej, i Młynarska i Chłodna. Po prawej stronie stał budynek mniej więcej piętrowy, dość długi. Z taką wielką bramą, to pamiętam. No i wszyscy..., oddzielali kobiety i mężczyzn. Kobiety i dzieci – na lewo, a mężczyzn – na prawo, na rozstrzał. I kiedy ja spojrzałam, w tej bramie był stos ludzkich ciał, które Niemcy podpalili, naftą czy benzyną, nie wiem. I gdy podpalone ciało jest, rozgrzewa, to ono się zaczyna ruszać. I to wszystkie, i..., i w tym momencie nadleciały alianckie samoloty, a mój wujek już wszystko rzucił i był pod ścianą. Ale nadleciały alianckie samoloty z zrzutem i Niemcy się wystraszyli i nie zdążyli już rozstrzelać. I to już z opowiadania wiem, że wujek ciągnął Niemca Kebera, tego właściciela domu, skąd się tam znalazł, tego nie wiemy. Właściciela domu na księcia Janusza, bo on był stary, a oni do wagonów mieli pędzić tych ludzi. I wujek był młody, więc ciągnął jego, prawie niósł. No i tak się to... A ja w tym momencie dostałam szoku i po prostu nie wiem co dalej. Obudziłam się to byłam w jakimś kościele. Obudziłam się. Byłam w jakimś kościele. Nade mną byli ludzie, tam dyskutowali, a to poili mnie, a to to. Ale niewiele pomogło. I drugi raz obudziłam się, to już byłam na jakiejś łacie.

No i okazało się, że jestem blisko Grójca, jesteście blisko Grójca, a oni mnie nieśli, czy tam na jakimś wózku ciągnęli. Ale już, już zaczynałam dochodzić do świadomości, bo w Grójcu był, było RGO. Nawet do tej pory nie rozszyfrowałam, co to było to RGO, ale nazwę pamiętam. I to była taka społeczna, społeczna instytucja, która przydzielała matki z dziećmi, przydzielała do gospodarzy na wsi, żeby utrzymywali. To była..., Rada Główna Opiekuńcza. Rada Główna? A widzi pani, to ja po tylu latach dopiero ja nie mogłam rozszyfrować tego. Tak że, skierowanie. Mama mówi: „Wiesz co, ja nie chcę tam iść. Pójdziemy do Tomaszewskich, do Włoch, pod Warszawą”, bo to było pod Warszawą. No, myśmy tam dobrnęli, a to wszystko pieszko, pieszko, to nie jest o tak. I po drodze na żebranym chlebie. No ale doszliśmy kilometrów.

Julia Krajewska: Przepraszam, ile to było kilometrów mniej więcej od tego Grójca do Włoch?

Janina Urbańska-Tyborowska: A ja wiem, że 30 km. Tak, że sporo. Ja w nogach jestem bardzo mocna. I doszliśmy do państwa Tomaszewskich. To była rodzina od strony ojca. I okazało się, że oni nas przyjęli, ale z przymrużeniem oka, dlatego, że nie chcieli odmówić, ale wszędzie wisiły plakaty, że za przetrzymywanie warszawiaków kara śmierci. Myśmy nie mogli narażać. Więc mama mówi: „Nie ma rady, idziemy do RGO i zostaniemy, zostaniemy w tym RGO przydzielone”. No i znów te kilometry. A najgorsze było to, że ja nie umiałam chodzić w drewniakach. Pani nie wie, co to jest drewniak?

Julia Krajewska: Buty takie.

Janina Urbańska-Tyborowska: To jest taka podeszwa z drewna i przyczepione paski, żeby nogi nie uciekały. Ja miałam pokrwawione nogi, kostki, ja nie umiałam w tym chodzić. No ale bardzo długo..., od Grójca do Janek, tam gdzie myśmy byli, teraz jest market, i dalej Warszawa, a to była wieś. I myśmy tam zostały przydzielone. No i taki był bardzo przykry moment, który mnie do..., uświadomił, że ludzie na wsi są źli. Jako dziecko, ludzie na wsi są źli, bo idziemy zmęczone, upał sierpniowy czy tam już wrześniowy. Ledwo idziemy, jedzie człowiek, koń, furmanka, i jest taka rozłożona. Duży, duży, taki pień drzewa rozłożony na tym i tam mama zatrzymuje i mówi: „Proszę pana, pan nas podrzuci”. On spojrzał na nas i powiedział: „Koń jest droższy jak człowiek”, zaciął batem i poszedł. Myślę sobie no, miałam wtedy 10 lat. Mówię o... Na wsi trzeba uważać, bo to na wsi źli ludzie. To nieprawda. Wszędzie są dobrzy i źli. No i tam byliśmy w tych, w tych Jankach. Tymczasem wujek z młodym chłopcem, który zostawił zamknięte gołębie w Warszawie i się bardzo martwił, uciekli. Uciekli z transportu, bo to młode, uciekli. No i szli, ale już na terenie Niemiec. I w pewnym momencie nie wiedzą, gdzie iść. Jest jakieś zabudowanie, więc stukają i pytają o drogę. A ta kobieta nie wiadomo, czy mówiła po polsku, czy to Polka, czy Niemka, ale popatrzyła na nich i spojrzała do góry. I wisiła gestapowska czapka, pokazała im oczami, i tam dalej siedział ten gestapowiec. To oni szybko wyszli i szybko znaleźli już drogę. Chociaż, chociaż nie wiedzieli gdzie iść, ale ze strachu znaleźli. No i wtedy wujek poszedł najpierw do Tomaszewskich. Dowiedział się, że myśmy poszły do RGO. RGO poinformowało gdzie jesteśmy. No i wujek przyszedł po nas. Myśmy nie wiedziały co z wujkiem, bo wujek, wujek poleciał z tym Niemcem, co tych ludzi, co mieli rozstrzelać, bo pędzili do wagonów. A myśmy poszły, to i myśmy nawet nie wiedziały, że wujek żyje, bo skąd mogłyśmy wiedzieć? Bo nas popchnęli, a ja już w ogóle nic nie wiedziałam. No więc tam przyszli w tych Jankach, byłoby wszystko dobrze, bo gospodarze zostawiali marchewkę i pietruszkę, takie co gorsze, to się wszystko

z tego zupełnie gotowało. Mąka była i trochę kartofli, bo tam była Kasia i jakiś Tomasz chyba. I to byli ci ze wsi ludzie, którzy musieli usługiwać im tym Niemcom. I okazało się, że byłoby wszystko dobrze, bo nam wystarczyło. Tym bardziej, że miałam tam w ogrodzie jabłonkę, która mnie dożywiała, którą ja pierwszy raz widziałam, że na drzewie są, mogą być owoce, bo niby skąd? I byłoby, nie byłoby nieszczęścia, gdyby nie dokooptowali dwóch warszawiaków cwaniaków. I oni, ci warszawiacy, to oni byli ciągle głodni, strzelali do wróbli, do gołębi. Wszystko, co dało się zjeść, to zjedli. No i wreszcie coś wykombinowali i poszli do bogatego gospodarza i powiedzieli, że są leśnymi, i że, żeby... I zabrali mu prosiaka czy świnię. Nie wiem. Zabrali. No i przywlekli do domu. Na drugi dzień było i kartofle ze słoniną. No a po sąsiedzku była taka dziewczynka moich lat, i ich, śmieli się z nich zawsze. Nazywali ich „ta-jojki”, bo oni tak śmiesznie mówili. Byli gdzieś ze wschodu, z Galicji gdzieś byli. No i pani... Ta pani mnie pyta, mówi: „No, Jasiunia, dobre były kartofle ze słoniną?”. Ja mówię: „Oj, pyszne”. Bo ja wiedziałam, że Niemcom nie wolno mówić, no ale swojemu? Ale nie rozróżniałam, że to, że to jest niebezpieczne. No i oni wszyscy tam byli w zмовie. Wszyscy wiedzieli. No i za dwa dni przyszli prawdziwi leśni. Ale mój wujek i ten, ten gospodarza, ten, ten... służący, nie byli. Ale oni wzięli rozebrali ich wszystkich i sprawili im takie manto, i mojemu wujkowi też, chociaż wcale nie był, ale mężczyzna jest, to mógł nie dawać, nie dać iść. No i mówi, wujek mówi: „Słuchaj, my musimy coś z tym zrobić, bo ja na złodziejstwo nie pójdę”. Ale oni, ci leśni, to nie zabrali prosiaka, bo wiedział, że wiedzieli, że głód da możliwość człowiekowi zatracenia pamięci, jak to można, tylko za to, że się leśnymi nazwali. Bo okazało się, że ten gospodarz taki bogaty. To on dokarmił tych leśnych. No to się poskarżył, dlaczego jeszcze raz przyszli. No i myśmy zwinęli, zwinęli wszystko, co było nasze. No i poszliśmy na drugi, trzeci dzień w drogę. A kiedy jeszcze były te czasy, kiedy był ojciec i mama, to było czterech czeladników, mama, ojciec i ja. I to była pani Hela, która mamie pomagała. Bardzo piękna kobieta. Miała dwoje dzieci, ale gdzie w życiu znajdzie pracę?

Julia Krajewska: A co z dziećmi zrobi?

Janina Urbańska-Tyborowska: No więc zajmowała się praniem bielizny. To, to wszystko było inaczej niż teraz. I ona wyszła po raz drugi za mąż, koło Jędrzejowa w Chrobrzu, i oni tam wyjechali. Jak Powstanie miało być, to oni tam wyjechali. I wujek mówi: „Wiesz co, my tam pojedziemy do tego Chrobrza”. No dobrze, to jedziemy. Doszliśmy do Grójca. Dojechaliśmy. Doszliśmy do Grójca. No i mama na peronie zaczepia kolejarza. I mówi: „Proszę pana, my musimy dotrzeć do Jędrzejowa. Niech pan pomoże, bo nie mamy ani pieniędzy, ani nic, no to, po prostu nie mamy jak dotrzeć. I czy jakaś lokomocja. Bo to pieszo nie da rady”. I wtedy popatrzył na nas i na mnie szczególnie. A byłam chuda jak, jak szkielecik. I zaprosił nas do siebie do domu. Żona jak mogła, tak nas ubrała, nakarmiła, przetrzymała dwa dni. No i powiedzieć, dlaczego dwa dni. Bo za dwa dni miał odejść pociąg z towarem jakimś tam. Taki towarowy pociąg miał iść. No więc on jeszcze dał mamie... Nie powiedział, że: „Wie pani, my pieniędzy to nie mamy, ale mamy tutaj dość opał. A ja mam kwit, talon na węgiel i on jest wart 400 złotych. I jak będziecie mieli już, że tak powiem, kreskę, że już nie dacie rady, no to możecie to spieniężyć i jakoś tam dojechać do tego Jędrzejowa”. No i rzeczywiście. Pociąg przyszedł, ale jedne [wagony] były zamknięte, a te odkryte, to tam nas usadzili. Mnie się jako dziecko to się bardzo podobało, dlatego że tak świat widziałam. Ciepło było, pociąg gwizdał. Nigdy nie jechałam pociągiem, gwizdał, hałasował jakby super express jechał i dymił. Także gdy wsiadaliśmy, to byliśmy wszyscy biali. Ale już jak wysiadaliśmy, to już nie byliśmy biali. Byliśmy wszyscy jak Murzynki. No. Ale konduktorzy chodzili i zbierali pieniądze. A na nas to tylko spojrzeli, „Z Warszawy” – w ogóle nas nie ruszali. No i my znów z Jędrzejowa, do tego

Chrobrza. Znów pieszo, o żebraczym chlebie. Od chałupy do chałupy. Nocowało się w stodołach czy gdzieś tam. Ale to było lato jeszcze, prawda, to było ciepło. No i po paru dniach dotarliśmy tam. Dostaliśmy się do tego Chrobrza. To była wieś położona wzdłuż rzeki Nidy. Była Nida, duże, duże pole i czteropiętrowa góra. I tam stał pałac jakiegoś chyba Wielopolskiego. Naprawdę nie wiem. Nigdy nie dociekałam, kto tam był. I to była wieś cygańska. Jak Hela nas zobaczyła, pani Hela i Janek zobaczyli, więc się bardzo ucieszyli, że myśmy, że żyjemy, że doszliśmy. No, gościli nas jak mogli, ale jeden pokój, kuchnia, a ludu chyba było..., a z osiem osób, no to nie da rady żyć. No zaczęli się rozglądać za jakimś mieszkaniem i wynajęli. Mama wynajęła u Cyganki Helino, wynajęła pokój, duży pokój z kuchnią. Mama pyta się Helino... „Ja od was nic nie będę brała pieniędzy, tylko będziecie tu sprzątać, robić”. „No a kuchnia?” „Ja pójdę na żeby, a jak wy będziecie tutaj, to ja tam, gdzie pójdę, to zjem, u was też zjem, mnie kuchnia niepotrzebna”. No i mój wujek, rada nie rada, trzeba coś robić. Więc we dworze rąbał drzewo za, niekoniecznie za pieniądze, tylko za wszystkie datki, jak co, co tam można było zdobyć. No a mama w tym dworze uczyła dwie dziewczynki grać na pianinie, i uczyła historii na tyle, ile pamiętała. I to wszystko – historii i śpiewu trochę, tak, że kręciła się tam. No i tak przeżyli i kwit się wtedy przydał, dlatego, że zima przyszła. Było to... Halino powiedziała, że jeszcze w życiu nie miała tak ciepło, bo gmina przydzieliła nam dwie fury drzewa jako uciekinierom. Bo to było inaczej, bo to było daleko od Warszawy, to już było ulgowo. I mogliśmy, a wujek nie, chociaż nie był żadnym szewcem zaczął reperować buty, więc jak nie miał butów do reperacji, to robił, to rąbał drzewo i tak żeśmy przeżyli. A najśmieszniejsze było to, że ja byłam strasznie chuda, i Halino, ja to napisałam właśnie w książce, że Helino mnie koniecznie chciała wziąć na żeby. Dlatego powiedziała, że jak pójdzie na żeby z taką chudziwą, to dwa razy tyle przyniesie. Mama ani rusz nie mogła wytłumaczyć, że mama nie chce, nie było możliwości wytłumaczenia, bo mentalność ich jest taka. Oni byli bogaci, bo mieli podwójny dom. Syn mieszkał z żoną i synem obok w jednym, a Helino mieszkała tu. Ale ponieważ syn ożenił się z dziewczyną ze wsi, a nie z Cyganką, to matka go nie znała. Także nie było żadnego porozumienia między nimi. No, ale żeśmy zużyli wtedy ten talon i było ciepło, ale uratowały mnie buty. No bo ja nie miałam. Wujek mi zrobił buty, ale pożał się Boże, co to było? Ja mogłam chodzić, mogłam chodzić po domu w takich trepach, ale żeby w drogę iść w czymś takim to nie dało rady. No i rozumiałam wreszcie, że ja nie mam butów. No modliliśmy się tylko, żeby nigdzie nie wyżebrała tych... A ona była bardzo bogata, ale zasługa jej była taka, że nauczyła mnie wróżyć. Nauczyła mnie z ręki, z oczu, z włosów. Wszystko mnie nauczyła. Wszystko co złe, albo i dobre. Bo to tak po prostu doświadczenie życiowe, prawda?